

## Wir

Tragedia wisiała w powietrzu. Tego dnia, w niedzielny poranek, K. po raz pierwszy poczuł rozpacz, która wkrótce zawładnęła nim całkowicie. Córka nie dzwoniła od dziesięciu dni. Po latach obwiniał siebie za ignorowanie rodzinnych rytuałów, tak bardzo potrzebnych w trudnych czasach. Raz dziennie telefon, w niedzielę wspólny obiad. Córka nie lubiła jego drugiej żony.

Jak to możliwe, że mając takie doświadczenie jako polityk, nie dostrzegał zagrożeń nowych czasów? Być może sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby zamiast poświęcać czas spotkaniom z zaprzyjaźnionymi literatami, pisarzami tworzącymi w jidysz, martwym języku, znanym jeszcze tylko garstce staruszków, w większym stopniu zainteresował się tym, co działo się wówczas w kraju. Kto wie? Jakie znaczenie ma teraz jidysz? Żadnego. Na cotygodniowych spotkaniach zamiast zajmować się żywymi, opłakiwali trupa, martwy język.

Niedziela kojarzyła mu się z córką, bo wtedy przynosił jej prezenty. Nagle przypomniał sobie krążące dzień

wcześniej plotki. W dzielnicy Bom Retiro<sup>1</sup> zaginęło dwóch żydowskich studentów medycyny. Mówiono, że jeden z nich pochodził z bogatej rodziny, że to polityczna sprawa związana z działaniami dyktatury, a nie objaw antysemityzmu. Znikali też inni, którzy nie byli Żydami. Dlatego Federacja Żydów postanowiła się nie wtrącać. Zresztą, to były tylko pogłoski, nie wiadomo, czy prawdziwe. Nie znano nawet nazwisk chłopców.

K. zaniepokoił się. Powodem była plotka, a nie to, że była niedziela. Cały dzień dzwonił pod numer, który podała mu córka na nagłe sytuacje. Nie odpowiadała, nawet o pierwszej po północy, kiedy powinna być w domu. Lubiła chodzić do kina, ale o tej porze na pewno byłaby już z powrotem. Postanowił następnego dnia pojechać na uczelnię.

Tej nocy przyśniło mu się, że znów jest dzieckiem i siedzi u ojca w zakładzie szewskim pełnym kozaków, którzy przyszedli naprawić cholewki. Przerażony, obudził się nad ranem. Przypomniało mu się, że kozacy przyszedli w święto Tisza be-Aw, w dniu upamiętniającym wszystkie żydowskie nieszczęścia, zburzenie Pierwszej i Drugiej Świątyni oraz wypędzenie Żydów z Hiszpanii.

Był przerażony, choć nie wiedział, dlaczego. Nie budząc żony, wstał, wsiadł do swojego austina i pojechał do kampusu, którego zabudowania rozciągały się na odległej nizinie za dzielnicą z wieżowcami. Powoli jechał przez

---

<sup>1</sup> Żydowska dzielnica São Paulo. (Wszystkie przypisy, jeśli nie zaznaczono inaczej, pochodzą od wydawcy).

centrum miasta, ociągając się z dotarciem do celu. Targały nim zmienne uczucia, od pewności, że zostanie córkę w pracy, po strach przed jej nieobecnością. Wreszcie dojechał do zespołu budynków należących do Instytutu Chemii. Był tam tylko raz, wiele lat temu, kiedy córka broniła doktoratu przed komisją profesorów o srogich twarzach. Niektórzy z nich skończyli studia jeszcze w Niemczech.

Koleżanki powiedziały, że jej nie ma. Wymieniły ukradkiem nerwowe spojrzenia. Potem, w obawie przed podsłuchem, wyprowadziły K. do pobliskiego parku. Przyznały, że nie widziały jej od jedenastu dni. Tak, na pewno, od jedenastu dni, włączając w to sobotę i niedzielę. A przecież nie opuściła dotąd ani jednego dnia. Mówiły szeptem, urwanymi zdaniami, jakby każde słowo kryło tysiąc innych słów o zakazanych znaczeniach.

Zdenerwowany K. nie był zadowolony z ich wyjaśnień i chciał porozmawiać z innymi osobami. Przełożeni pewnie wiedzieli coś więcej. Jeśli córka miała wypadek i trafiła do szpitala, na pewno ktoś powiadomił uczelnię. Koleżanki się zaniepokoiły. Niech pan tego nie robi! Jeszcze nie teraz. Chcąc odwieść go od takiego pomysłu, zaczęły przekonywać w innym tonie, że pewnie gdzieś wyjechała, postanowiła zniknąć na kilka dni. Wie pan, że wypytywali o nią jacyś obcy ludzie? Na terenie kampusu kręcą się podejrzane typy. Spisują numery rejestracyjne samochodów, przesiadują w rektoraście. Oni, czyli kto? Nie potrafiły odpowiedzieć na to pytanie.

K. dał się przekonać, że nie ma sensu iść do władz uczelni. Ze ściśniętym sercem poszedł na ulicę Padre

Chico, pod dom, którego numer podała mu kiedyś córka, z zastrzeżeniem, aby pojawił się tam jedynie w wyjątkowej sytuacji, jeśli nie zdoła porozumieć się z nią telefonicznie. Wtedy wydawało mu się to na tyle absurdalne, że nie dopytywał, dlaczego wolno mu przyjść tylko w nagłym przypadku. Mój Boże, gdzie on miał rozum?

Był to dom szeregowy, przy ulicy, wciśnięty między dziesięć innych podobnych domów. Pod drzwiami leżała sterta broszur i gazet, co wskazywało na długą nieobecność domowników. Nikt nie zareagował na uporczywe dzwonienie.

Teraz nie miał wątpliwości. Stało się coś strasznego. Co robić? Dwaj synowie daleko, za granicą. Druga żona bezużyteczna. Koleżanki z uczelni przerażone. Czuł się stary i przybity. Słabe, wypalone ciało było bliskie rozpadu, umysł w stuporze. Nagle wszystko zostało pozbawione sensu. Jeden fakt zagłuszył całą resztę, w jednej chwili rzeczywistość straciła znaczenie. Liczyło się tylko jedno – jedenaście dni temu, a może wcześniej, zniknęła jego ukochana córka. Poczul się straszliwie samotny.

Rozważał możliwe scenariusze. Wypadek albo poważna choroba, do której nie chciała się przyznać. Najgorsze było uwięzienie przez tajne służby. Państwo nie ma twarzy ani uczuć, jest hermetyczne i perwersyjne. Jego jedyłą szczeliną jest korupcja, ale czasem nawet ona zamyka się na odgórny rozkaz. Państwo staje się jeszcze gorsze, ponieważ prócz tego, że jest okrutne, jest nieosiągalne. K. dobrze o tym wiedział.

Zaczął odtwarzać w pamięci sceny z niedawnej przeszłości. Zdenerwowanie córki, jej wymijające odpowiedzi, pośpieszne odwiedziny, zawsze w biegu, podanie adresu na wypadek nagłej sytuacji i prośba, żeby broń Boże nikomu go nie przekazywał. K., otępiały, zdał sobie sprawę, że oszukiwany przez własną córkę, oszukiwał także samego siebie. Być może dała się wciągnąć w wyjątkowo niebezpieczną grę, a on niczego nie zauważył, pochłonięty studiami nad jidysz, oczarowany pozornym blichтром literackich spotkań.

Do tego niepotrzebnie poślubił niemiecką Żydówkę, tylko dlatego, że dobrze gotowała ziemniaki. Niech szlag trafi przyjaciół, którzy go namawiali do ponownego ożenku. Niech wszystkich szlag trafi. On, człowiek, który nigdy nie złorzeczył i akceptował ludzi z ich wadami i zalecaniami, nagle stracił nad sobą kontrolę i zaczął przeklinać. Przeczuwał najgorsze.

Znajomy pisarz, również adwokat, poradził mu w czasie rozmowy telefonicznej, aby poszedł na policję i zgłosił zaginięcie córki w Departamencie Osób Zaginionych. Ostrzegł co prawda, że to nie przyniesie efektu, ale jako ojciec miał taki formalny obowiązek. Podyktował mu adres: Rua Brigadeiro Tobias, Komenda Główna Policji. K. spytał przyjaciela, czy słyszał o zniknięciu dwóch żydowskich studentów medycyny. Tak. To nie była plotka. Ktoś z jednej z tych rodzin już się z nim skontaktował. Co zamierzał zrobić? Nic. W sprawach politycznych sądy były zobowiązane oddalić każdą prośbę o stwierdzenie

legalności aresztu zatrzymanej osoby. W takiej sytuacji adwokat nic nie wskóra. Nic. Tak wyglądała sytuacja.

Na posterunku zadano staruszkowi kilka zdawkowych pytań. Większość zaginionych to nastolatki uciekające od pijanych ojców i agresywnych ojczymów. K. wytłumaczył, że jego córka ma doktorat, pracuje na uniwersytecie, jest dorosła, ma własne mieszkanie i samochód. Czy to przypadkiem nie jest sprawa polityczna?

Nie chciał zdradzić policjantowi zbyt wielu szczegółów, tylko coś zasugerował. Z tego samego powodu nie podyktował prawdziwego adresu zamieszkania córki. Własny adres podał jako adres córki, a sklepu – jako swój. Podświadomie zachował się jak w młodości, w czasach konspiracji w Polsce. Dyżurujący policjant nie był zadowolony z przebiegu rozmowy. Nie wolno mu było zajmować się sprawami politycznymi, ale wiedziony współczuciem, przyjął zgłoszenie. Kazał uzbroić się w cierpliwość i nie mieszać się do polityki.

Rozpocząć poszukiwania? Wykluczone. Policja miała inne sprawy na głowie. Trzydziestoletnia pracownica uniwersytetu jest dorosła i ma wszystkie wymagane szczepienia. Niech K. cierpliwie czeka. Zdjęcie córki zostanie przesłane do innych komisariatów. Jeśli w ciągu pięciu dni K. nie otrzyma wiadomości, powinien zgłosić się do Instytutu Medycyny Sądowej, gdzie trafiają niezidentyfikowane zwłoki ofiar wypadków, poradził policjant ściszym głosem.

I tak zaczęła się gehenna starego ojca, z każdym dniem coraz bardziej zrozpaczonego i wyczerpanego brakiem

snu. Po dwudziestu dniach, po kolejnej bezowocnej wizycie w kampusie i w domu przy ulicy Padre Chico, K. zwrócił się o pomoc do przyjaciół literatów, tych samych, którym niedawno złorzeczył. Może znali kogoś, kto miał kontakty w policji, wojsku, SNI<sup>2</sup> albo w jakiejś innej instytucji, która połykała ludzi, nie zostawiając po nich śladu? Niestety, poza adwokatem znajomi byli skromnymi ludźmi bez znajomości. Prawnik wspomniał mimochodem o przywódcy społeczności żydowskiej w Rio, który miał dojścia do kilku generałów. Obiecał czegoś się dowiedzieć.

K. zaczął liczyć dni od zniknięcia córki, kolejna zasada z czasów młodości. Nie było dnia, aby nie zrobił czegoś w jej sprawie. Jej zaginięcie stało się treścią jego życia. Zaczął brać tabletki nasenne. Po dwudziestu pięciu dniach zdobył się na odwagę i poszedł do Instytutu Medycyny Sądowej.

Powiedział o niewytłumaczalnym zniknięciu córki, nie wspominając nic o polityce. Pokazał jej zdjęcie z dyplomu. Była na nim taka poważna. Potem wyjął inne, na którym zdawała się bardziej wychudzona i smutna. Żaden z pracowników jej nie rozpoznał i nie skojarzył z nielicznymi, leżącymi w kostnicy czarnymi i brązowymi ciałami kobiet. Prawie wszystkie ciała to zwłoki biedaków. Prawdę mówiąc, od ponad roku nie przysłano im do identyfikacji zwłok białej kobiety. K. wyszedł z instytutu z uczuciem

---

<sup>2</sup> Serviço Nacional de Informações – Narodowa Służba Informacji, brazylijski wywiad utworzony w 1964 r.

ulgi. Wciąż miał nadzieję odnaleźć ją żywą. Przygłębił go jednak widok szeregu zdjęć biednych, bezimiennych ludzi. Nawet w Polsce podczas wojny nie widział tak posiniaczonych twarzy i przerażonych spojrzeń.

Owładnięty jedną myślą, zaczepiał klientów, którzy przychodzili uregulować długi w sklepie, sąsiadów na ulicy, a nawet nieznanym. Wszystkim opowiadał historię zniknięcia córki. Jej garbus też zniknął, dodawał. Słuchali w milczeniu, po czym klepali go po ramieniu. Mówili, że im przykro. Niektórzy przerywali już na początku, usprawiedliwiając pośpiech wizytą u lekarza lub inną wymówką, jakby samo wysłuchanie historii zagrażało ich bezpieczeństwu.

Trzydzieści dni po zniknięciu córki K. przeczytał w gazecie „O Estado de São Paulo” artykuł, w którym nieśmiało wspomniano o zaginionych z przyczyn politycznych. Arcybiskup postanowił zorganizować spotkanie z „rodzinami zaginionych”. Tak właśnie napisano – „rodzinami zaginionych”.

K. nigdy dotąd nie przekroczył progu katolickiej świątyni. Czuł się nieswojo z powodu panującego w kościołach półmroku, ciszy i widocznych przy wejściu obrazów świętych. Żywił atawistyczną odrazę do katolicyzmu, gardził praktykami religijnymi, również własnego narodu. Tak naprawdę nie czuł nienawiści do wyznawców religii ani do ich zwyczajów. Nie cierpiał ludzi Kościoła, księży, rabinów, biskupów. Uważał ich za hipokrytów. Tego dnia nie miało to jednak znaczenia. W sprawie niewyjaśnionych



zaginięć postanowił zabrać głos wielki autorytet, sam arcybiskup.

Kiedy K. wszedł do głównej sali w budynku Kurii Metropolitalnej, poczuł, jak bardzo zmienił się od dnia zniknięcia córki. Wchodząc do głównego holu, życzliwie spojrzął na barokowy obraz Matki Boskiej i wiszące na ścianach wizerunki nieznanym mu świętych. Spotkanie już się rozpoczęło. W sali pełnej pustych krzeseł znajdowało się około sześćdziesięciu osób. Przy stole w kształcie podkowy, frontem do publiczności, siedziało czterech mężczyzn o poważnych twarzach, prawdopodobnie adwokatów. Zakonnica robiła notatki w grubym zeszycie.

Głos zabrała kobieta. Wyglądała na dziewięćdziesiąt lat, miała pomarszczoną, drobną twarz, zatknięte na czubku nosa okulary i siwe włosy. Jej mąż wracał z emigracji przez miasto Uruguaiana. Dotarł w umówione miejsce, przy samej granicy, i zniknął bez śladu, jakby rozpułnął się w powietrzu albo jakby anioły zabrały go do nieba. Jeden z synów próbował go odnaleźć. Odwiedził wszystkie miejskie szpitale, posterunki policji, przystanki autobusowe – i nic, ani śladu ojca. Siedzący obok syn kiwał głową.

Potem głos zabrała inna kobieta. Miała około pięćdziesięciu lat i przedstawiła się jako żona byłego deputowanego jednego ze stanów. Przyszli do nich dwaj policjanci i poprosili męża, aby pojechał z nimi na komisariat w celu złożenia wyjaśnień. Był spokojny, choć już wcześniej wojskowi odebrali mu mandat poselski. Żył normalnie,

prowadząc kancelarię adwokacką. Kobieta nie widziała go od tamtego dnia, czyli od ośmiu miesięcy. Na posterunku powiedzieli, że był u nich zaledwie kwadrans, po czym wyszedł. Jak to możliwe? Jak mógł tak po prostu zniknąć? Eleganckiej pani towarzyszyło czworo dzieci.

K. przysłuchiwał się kolejnym historiom o zniknięciu bliskich. Wszyscy chcieli mówić. Wszyscy chcieli słuchać. I zrozumieć. Wierzyli, że z tych opowieści będą mogli wyciągnąć wnioski, doszukać się w nich logiki, a przede wszystkim znaleźć rozwiązanie i zakończyć ten koszmar. Dwudziestoletnia kobieta zabrała głos w imieniu siedzącej obok grupy ludzi, „rodzin zaginionych z Araguaia”<sup>3</sup>. K. po raz pierwszy usłyszał relację osoby z tych terenów. Już wcześniej czytał doniesienia z amazońskiej dżungli, gdzie wojsko wyłapywało, a potem rozstrzeliwało młodych mężczyzn.

Powód ich przyścia na spotkanie był osobliwy. Wojsko zaprzeczało, mimo zeznań człowieka, jedyne, któremu udało się zbiec. Rodziny wiedziały już, że ich bliscy nie żyją, i chciały ich pochować. Podobno zniknęło ponad pięćdziesiąt osób. Wiadomo było, gdzie dokonywano egzekucji, ale wojsko uparcie twierdziło, że nie ma tam żadnych ciał.

Pewien chłopak umówił się z żoną na obiad w Conjunto Nacional, centrum handlowym w São Paulo, i słuch

---

<sup>3</sup> W dolinie rzeki Araguaia działał ruch partyzancki. Akcje rozpoczęte w 1967 r. i popierane przez większą część lokalnego społeczeństwa zostały brutalnie stłumione przez siły wojskowe w 1974 r., zmobilizowane wówczas na niespotykaną wcześniej skalę.

o nich zaginął. Matka mężczyzny pokazała siedzącym obok osobom zdjęcia syna, synowej i wnuka. Potem wstał mężczyzna. Przyjechał specjalnie na spotkanie z miasta Goiânia. Zniknęli dwaj jego synowie. Jeden miał dwadzieścia lat, drugi zaledwie szesnaście. Mężczyzna jąkał się i wykonywał mnóstwo nerwowych gestów. Jako pierwszy użył określenia „sprawiono, że zaginęli”. On również przywiózł zdjęcia swoich dzieci. Wreszcie K. zdobył się na odwagę i opowiedział swoją historię.

Zapadła noc, a ludzie wciąż opowiadali. Scenariusze różniły się detalami, okolicznościami, ale dwadzieścia dwa przypadki, o których opowiedziano podczas spotkania, miały jedną wspólną cechę – po zaginionych nie było śladu. Jakby rozplynęli się w powietrzu. To samo stało się z młodymi ludźmi z Araguaia. Ich rodziny były pewne, że nie żyją. Zakonnica spisała wszystkie przypadki i schowała przyniesione zdjęcia.

K. słuchał z rosnącym przerażeniem. Nawet naziści, którzy redukowali swoje ofiary do garści popiołów, odnotowywali ich śmierć. Każdy człowiek miał numer wytatuowany na przedramieniu, każdy zgon zapisywano w księdze. Owszem, były też masowe egzekucje. Żydów z wioski spędzali w jedno miejsce, obok wykopanego dołu, i rozstrzeliwali ich. Potem posypywali trupy wapnem, a na koniec zasypywali ziemią. Goje z wioski wiedzieli jednak, że w dołach leżą Żydzi, znali liczbę ofiar i ich nazwiska. Nikt nie przeżywał agonii niepewności. To były masowe egzekucje, a nie wir, który wciągał ludzi.